

# Kłusownictwo na Lubelszczyźnie

Moje najwcześniejsze zetknięcie z problemem kłusownictwa nastąpiło w wieku 2-3 lat. O dziwo, wszystko pamiętam, może trochę jak przez mgłę, ale jednak. Była śnieżna, głęboka zima i mama, niosąc mnie na rękach, wyszła na spacer w kierunku pobliskich okopów z czasów I wojny światowej, w swojej rodzinnej miejscowości Miłków. W pewnym momencie jej noga została unieruchomiona. Pamiętam ten obraz - zasy, ośnieżone drzewa, okopy. Jakaś niewidzialna siła sprawiła, że noga mamy ugrzęzła w śniegu i za żadne skarby nie mogła się stamtąd wydostać. Okazało się, iż pod śniegiem zamontowany został żelazny potrzask, zastawiony najprawdopodobniej przez naszego sąsiada - kowala, który podobne cacka wytwarzał w swojej kuźni i rozstawiał po polach. Na szczęście głęboki śnieg zneutralizował uderzenie. Mamie nic się nie stało, chociaż szczęki przebiły skórę buta.



Klatka do łapania jastrzębi i innych drapieżników z użyciem potrzasków. Fot. Michał Chomiuk

Kowal zastawiał duże ilości potrzasków - złapał się w nie nasz pies i przytargał do chałupy żelastwo wraz z ciężką kłodą, do której było przywiązane. Innym razem była to kotka, której od żelastwa wdała się gangrena i umierała długo w cierpieniu.

Wychowałem się na wsi, więc styczność z tym zjawiskiem miałem od dziecka. Nie będę też ukrywał, że jako młodemu chłopakowi zdarzyło mi się spożywać kuropatwy, dziką kaczkę czy pasztet z zająca. I wcale nie była to zwierzyna pozyskana legalnie. Oczywiście działa się to wszystko na długo przed tym, gdy w wieku 15 lat przestałem jeść mięso i zostałem wojującym wegetarianinem. Wtedy właśnie antykłusownicze powołanie zaczęło się we mnie dopełniać.

W rodzinnym Michowie, chodząc do pobliskiego lasu po drewno, zacząłem znajdować wnyki. Było ich dużo - niewielkie druciane pętla na zające, rozstawiane głównie na wydeptanych ścieżkach w sosnowych młodnikach. Było to jakieś 20 lat temu i wtedy miejscowi kłusowali głównie na zające, gdyż grubszej zwierzyny było mało, natomiast zajęcy pod dostatkiem. Chodziłem do lasu bardzo często, kilka razy w tygodniu, za każdym razem wracając do domu z kieszeniami pełnymi zwiniętych w kłębek drucianych pętli. Obecnie druciane wnyki są o wiele rzadsze. Dziś zastawiane są wnyki wykonane ze stalowych linek.

Zacząłem poznawać okoliczne lasy, od Baranowa po Firlej, a na północ aż po Wieprz. Nabierałem doświadczenia, znajdowałem wnyki na sarny. Starsi mieszkańcy Michowa opowiadali, jak dawniej łapało się sarny na linki i nagięte brzoźki. Znajdowałem nawet ogromne, grube liny na jelenia (w tzw. Lesie Bankowym w Lasach Firlejowskich). Kiedyś pod Antoninem w okolicach Firleja wybrałem się na dłuższy patrol. Przeraziłem się, gdy zobaczyłem wnyki o dużej średnicy, w które śmiało mógł wpaść dorodny byk - szesnastak, wtykając tam łeb ze swym wieńcem. Wnyki pozakładane były wśród młodych i trochę starszych brzoź i osiczek. Pamiętam dreszcz podniecenia, gdy zdejmowałem dziesiątki tych wynalazków i chowałem do plecaka. Oczywiście nie obywatelo się bez pogrózek, szantażu i prób zastraszania ze strony kłusowników. Jednak nie robiły one na mnie większego wrażenia, czasem nawet sprawiały, że determinacja rosła.

Stopniowo zacząłem wciągać w taką działalność brata, kolegów i znajomych. Efekty zaczęły być coraz lepsze i coraz więcej zwierzyny udawało się uratować. Akcje w terenie zaczynaliśmy już od połowy października i prowadziliśmy do końca lutego. Plecak chłonał zbrodnicze narzędzia, niby piekielne koła diabelskich tańców zaklinających ku złemu, mieszających w rozumie i duszy. Nie próżnowały i ręce, które uwijały się nieraz, nie potrafiąc nadażyć za wzrokiem strzelającym jak

automat po licznych przesmykach i ścieżkach. Tropy od drzewa do drzewa, od młodnika do młodnika, od wsi do lasu, od lasu do chałup i stodół, ciągnące się śladem drucianej śmierci. I tak aż do dzisiaj.

Niestety Lubelszczyzna, zresztą jak cała „ściana wschodnia”, pod względem kłusowniczego procederu znajduje się w krajowej czołówce. Do dziś wnykarstwo jest tutaj bardzo popularnym sposobem pozyskania dziczyzny, kłusują nierzadko całe rodziny, co staje się częścią jakiejś zdegenerowanej, niszczącej tradycji.

Obecnie najbardziej popularne są stalowe wnyki na sarny, dziki i rzadziej jelenie. Zastawiane są w młodnikach, w pobliżu wsi, pól, wśród zadrzewień i zakrzaczeń śródpolnych i wszędzie tam, gdzie zwierzyna ma swoje ścieżki i często się przemieszcza. Zwierzę złapane w taką stalową pułapkę zaczyna szarpać, żeby się uwolnić. Wówczas pętla zaciska się coraz bardziej i dochodzi do uduszenia. Kilka razy sarnie odczepionej z wnyka musiałem robić sztuczne oddychanie. Bywa i tak, że złapie się za nogi. I wtedy szarpiąc się doznaje strasznych ran – zostaje okaleczona przez wznającą się weń stalową linkę.

Zazwyczaj jest tak, że jeden kłusownik stawia większą ilość wnyków – rekord zdjętych wnyków przez nasz patrol w ciągu jednego dnia wyniósł 150 szt. Kłusownik po takiej akcji czyszczenia stawia wnyki kolejny raz. Gdy widzi, że i to nie pomaga i wnyki są usuwane, próbuje różnych sposobów. Zmienia miejsca, stara się ukrywać wnyki, stawiać je w mało dostępnych terenach, stawiać mniej i tylko na sprawdzonych ścieżkach itd. Jeśli jednak nie odpuszcza mu się i pułapki cały czas są likwidowane – w końcu daje za wygraną. W ten sposób udało nam się skutecznie zniechęcić do kłusownictwa sporo osób.

Część kłusowników łapie zwierzęta tylko dla siebie, by zasmakować dziczyzny. Inni natomiast z procederu zrobili świetny interes, prowadząc na boku „intratny handelek”, przynoszący niemałe zyski. Za średniej wielkości dzika kłusownik dostaje około 200 złotych.

Większość kłusowników działa w pojedynkę, jednak trafiają się także kłusownicze szajki, które dysponują samochodami terenowymi i bronią. Arsenal jest różnorodny – od typowych kłusowniczych „samoróbek”, wykonanych z układów kierowniczych z dorobionym zamkiem, poprzez różnego rodzaju „obrzyny”, broń bojową z czasów II wojny światowej, a nawet przedwojenną, karabinki sportowe, po całkiem profesjonalną broń łowiecką, dubeltówki, boki, sztucery itp., wyposażoną nierzadko w celowniki optyczne, noktowizory, tłumiki itd. Takie kłusownicze szajki (jak również pojedynczy kłusownicy) mają znajomości wśród oficjalnych myśliwych, z którymi potajemnie współpracują, kupują od nich amunicję itd. Oczywiście nie generalizuję tu w żadnej mierze.

Kłusownictwo z bronią w rękę to zresztą osobny temat – w pewnych rejonach jest bardzo popularne. Są nawet wsie, gdzie w co drugiej chałupie schowany jest jakiś samopał. W jednej z podlubelskich miejscowości znajdował się nawet „podziemny sklepik” z bronią. Właściciel tego przybytku miał doświadczenie jako wojskowy rusznikarz i wprowadzał na rynek olbrzymie ilości strzelającego złomu. Miał klientów rekrutujących się głównie spośród okolicznych kłusowników, choć podobno odwiedzali go również i legalni myśliwi, przestępcy i policjanci (bynajmniej nie po to, aby go aresztować). W końcu jednak wpadł, przy okazji zatrzymano kilkadziesiąt osób.

Niektórzy kłusownicy po latach prowadzenia nielegalnego procederu, dzięki układom i znajomościom doznają swoistej nobilitacji i wchodzą w szeregi legalnych myśliwych. Nie zmienia to faktu, iż nadal są kłusownikami. Budują ambony, paśniki, uczestniczą aktywnie w życiu kół łowieckich. Na boku handlują pokątnie dziczyzną, strzelają do czego popadnie, nie wyłączając gatunków chronionych. Zresztą większość legalnych myśliwych nie przepuści jastrzębiowi czy myszakowi, co też jest kłusownictwem. Tacy kłusownicy są najgorsi, gdyż działają pod przykrywką łowiectwa, co zdecydowanie utrudnia znalezienie przeciwko nim dowodów winy i postawienia przed sądem.

Niestety sądy łagodnie traktują leśnych przestępców, dążąc do umarzania spraw lub wydawania minimalnych wyroków.

Potwierdziła to jedna z naszych antyklusowniczych akcji z 2007 roku w Lasach Janowskich. Wcześniej otrzymaliśmy informacje, że pomiędzy tamtejszymi myśliwymi zawarta jest cicha umowa dotycząca eliminowania wilków. Informacje te zaczęły się potwierdzać. Gdy tylko wilki gdzieś się pojawiały, natychmiast były eliminowane. Dowiedzieliśmy się, że w okolicy działa preparator, który m.in. zajmuje się preparowaniem wilczych skór. Gdy spadał świeży śnieg, myśliwi zaczęli tropić wilki w celu odstrzału. Na przynętę wyrzucano tam duże ilości bydłowej padliny. Regularne patrole w okolicy doprowadziły do wytypowania kilku podejrzanych osób – w październiku 2007 r. pod zarzutem sprzedaży skóry z wilka zatrzymano dwie osoby (emerytowanego policjanta z Janowa Lubelskiego oraz leśnika). Sprzedający skórę kłusownik (emerytowany policjant) wziął za nią 3000 zł i oferował do sprzedaży kolejne, w tym skórę z niedźwiedzia brunatnego, gdyż – jak się wyraził – ma znajomych myśliwych w Bieszczadach. Zakup został zarejestrowany przez ukrytą kamerę. Natychmiast, na gorącym uczynku, osoby te zostały zatrzymane. Skórę z wilka odebrano, a po przeszukaniu posesji jednego z kłusowników (leśniczego) znaleziono kolejne 4 skóry z wilka, a także zamrożoną w lodówce czaplę białą ze śrutem w środku.

Za handel okazami z listy CITES (Konwencja o międzynarodowym handlu dzikimi zwierzętami i roślinami gatunków zagrożonych wyginięciem), a nawet samo ich oferowanie do sprzedaży – a takimi są wilk, niedźwiedź i czapla biała – grozi do 5 lat pozbawienia wolności. Prokuratura w Zamościu przedstawiła zarzuty obydwu podejrzany, jednak sąd w Janowie Lubelskim na pierwszym posiedzeniu umorzył postępowanie. Zostało to zaskarżone i sprawa wróciła na wokandę. Ponad trzy lata trwały przepychanki – sprawa z sądu rejonowego trafiła do sądu okręgowego w Zamościu. Jednak mimo oczywistych dowodów winy, obaj oskarżeni, w styczniu br. zostali uniewinnieni! Na szczęście prokurator wystąpił o pisemne uzasadnienie wyroku, i jak dowiedzieliśmy się z nieoficjalnych źródeł, planuje wystąpić o kasację wyroku do Sądu Najwyższego.

Kolejnym rodzajem kłusownictwa – po wnykarstwie i nielegalnych odstrzałach – jest barbarzyński i powszechny proceder wyłapywania ptaków drapieżnych. Nasz patrol każdego roku likwiduje od kilku do kilkunastu pułapek. W jednej tylko pułapce ginie w sezonie do kilkudziesięciu jastrzębi.

Na ptaki drapieżne kłusują głównie hodowcy gołębi, którzy w tak bezsensowny i okrutny sposób próbują pozbyć się zagrożenia dla swoich ptaków. Za stodołami, z tyłu zabudowań gospodarczych, w sadach i na polach są klatki-żywołapki. To duże, druciane klatki z podwójnym dnem lub małą klateczką wewnątrz, gdzie wpuszcza się żywe gołębie na przynętę, a u góry zamontowana jest ruchoma kłapa i mechanizm sprawiający, że klatka zamyka się w chwili dostania się atakującego drapieżnika do środka. Zastawiane są też małe klateczki z gołębiem wewnątrz, z przymocowanymi potrzaskami, które chwytają drapieżnika za nogi, kalecząc je okrutnie, a nawet odcinając – potrzaski często wyposażone są w żelazne, ostre zęby. Na szczęście te pułapki ze względu na ich duże rozmiary i stawianie w miejscach widocznych łatwo jest wykryć. Wystarczy przespacerować się z tyłu posesji jakiegoś nieuczciwego hodowcy gołębi, a jest duża szansa, że coś znajdziemy. Jastrzębie oraz krogulce, które złapią się w taką klatkę, są uśmiercane, a później albo zakopywane lub palone, albo preparowane i sprzedawane na czarnym rynku.

Problem kłusownictwa na Lubelszczyźnie i całej „ścianie wschodniej” jest powszechny. W ogromnej mierze przyczynia się do spadku bioróżnorodności. Konieczne jest zwiększenie skuteczności działań wymierzonych w ten proceder, zaangażowanie policji, prokuratury i organizacji społecznych, wymierzanie surowszych kar i wyroków, a przede wszystkim zmiana w społecznej świadomości, w której to zjawisko postrzegane jest jako problem mało istotny. Stowarzyszenie „Zielona Swoboda” od kilkunastu lat w miesiącach jesienno-zimowych prowadzi systematyczne patrole zwalczające kłusownictwo na Lubelszczyźnie.

Michał Chomiuk

Prezes Stowarzyszenia „Zielona Swoboda”